Podróż przez życie

Rozmowa z reżyserem Jerzym Antczakiem o najnowszej książce „Jak ja ich kochałem”.



Dwór został soecjalnie zbudowany dla filmu „Noce i dnie”, fot. arch. Jerzego Antczaka

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jestem po lekturze Pana najnowszej książki. Muszę przyznać, że przeczytałam ją „jednym tchem”. To piękna opowieść o życiu i bliskich Pana sercu osobach, na tle skomplikowanej historii Polski. Powołuje się Pan też na poprzednią książkę wspomnieniową „Noce i dnie mojego życia”. Kiedy i w jakich okolicznościach narodził się pomysł, aby ta książka powstała?

Jerzy Antczak:

Książka powstała z potrzeb spłacenia olbrzymich długów i utrwalenia ludzi, nie tylko z pierwszego planu, ale często z drugiego, albo trzeciego szeregu. Chciałbym, żeby mój czytelnik zobaczył twarze tych, którzy wspierali mnie kiedy brodziłem po

rubieżach świata w poszukiwaniu sensu istnienia i źródeł sztuki. W książce próbowałem ocalić od zapomnienia imiona tych wszystkich, którzy przytrzymywali mi tę drabinę, po której się wspinałem.

W książce podaje Pan tyle szczegółów sprzed lat, cytuje listy, opisuje z detalami różne sytuacje z dzieciństwa we Włodzimierzu Wołyńskim. Czytelnik ma wrażenie iż Panu przez całe życie towarzyszy. Skąd u Pana tak doskonała pamięć chwil?

Trudno mi powiedzieć, ale chyba pamięć jest czymś wrodzonym, czego nie można się nauczyć. Pamięć można wyćwiczyć, ale tylko do pewnego stopnia. Sięgając pamięcią wstecz, pierwsze doznania mogę zarejestrować od szóstego roku życia, a więc gdzieś od 1935 roku. Od tej daty po dzień dzisiejszy życie moje obfituje w wydarzenia, których logika oszałamia. Wszystko jest zagęszczone, ale najbardziej zdumiewa konsekwencja z jaką te wydarzenia łączą się, tworząc w pełni ukształtowany monolit czyli – moją gotowość do otwierania i zamykania różnych etapów!

W czasie odpływu inwencji, sięgam na chybił trafił po jakąś książkę. Otwieram na stronicy którą dotknie wskazujący palec i czytam, wierząc, że odnajdę coś, co mnie odbuduje. Podobnie stało się w czasie pisania „Jak ja ich kochałem". Wyciągnąłem z półki książkę Anny Piwkowskiej zatytułowaną, *Achmatowa, czyli kobieta*. Jest to biografia wybitnej rosyjskiej poetki, której życie przypadło na dwie epoki: czas carskiej Rosji, kiedy w wieku 18 lat zaświeciła na niebie poezji jak meteor, aby nie zgasnąć do końca życia. A oto cytat z dziennika Achmatowej:

Dwadzieścia procent w każdych wspomnieniach sfałszowanych jest przez wyobraźnię, bowiem każda pamięć pamięta co innego. I pamięta inaczej. Pamięć ludzka ma to do siebie, że niczym reflektor wyświetla pojedyńcze momenty pozostawiając wokół nieprzenikniony mrok…

Achmatowa ma rację. Nawet przy najdoskonalszej pamięci nie sposób wywołać pełnej prawdy wydarzeń z dalekiej, czy nawet najbliższej przeszłości. Ale ja jednak, spróbowałem dokonać rzeczy karkołomnej, wbrew temu co dowodzi Achmatowa: opisałem wydarzenia, które stanowiły najważniejsze ogniwa w mojej karierze,

postarałem się ożywić ich klimat i znaki czasu. Wreszcie, ustaliłem jakie przeżycia odłożyły się w mojej emocjonalnej pamięci, stając się karmą dla przyszłych artystycznych dokonań.

Historia, nawet ta najbardziej dramatyczna, przeżyta i zapamiętana przez ludzi, ma w sobie ładunek emocji, czego nie mają podręczniki i źródła naukowe. Opowiedziana przez Pana historia, trafia głęboko do serca. Dwór rodziny Burtanów w Białozowszczyźnie, gdzie mieszkał Pan na początku wojny, jego klimat, zapach pól, codzienne rytuały, a potem wymordowanie właścicieli, rezydentów i służby przez ukraińskich nacjonalistów, czy też historia Pana ojca, chorążego we Włodzimierzu Wołyńskim, potem działacza w podziemiu AK, a po wojnie fałszywe oskarżenie, uwięzienie i oczekiwanie na proces z groźbą kary śmierci – budzą sprzeciw czytelnika. Na ile te i inne dramatyczne wydarzenia Pana ukształtowały?

Dramatycznych wydarzeń w moim długim życiu nie brakowało, ale największy wpływ, a właściwie piętno na mojej osobowości wywarły wydarzenia związane z moim ojcem. Spójrzmy na to w wielkim skrócie.

W 1914 roku ojciec w wieku 18 lat zgłasza się na ochotnika do wojska. Odbywa kampanie wojenne 1918, 1920, 1939, a potem od 1940 do 1945 jako wysoki dowódca AK dowodzi dużą jednostką zwaną „pod obwodem". W 1946 roku, w ramach rozrachunku z akowskim podziemiem, ojciec zostaje aresztowany, oskarżony o wydanie rozkazu zabójstwa trzech sowieckich skoczków spadochronowych, za co groziła kara śmierci. W książce „Jak ja ich kochałem", wiele miejsca poświęcam przeznaczeniu. A oto namacalny dowód działania tej siły, związanej z losami ojca.

We Włodzimierzu Sara Pinkwas prowadziła mały sklepik, gdzie było wszystko – „mydło, szydło i powidło". Moja matka bardzo lubiła ten przybytek i jego niezwykłą atmosferę. Syn Sary – Icek, po agresji bolszewików na Polskę we wrześniu 1939 roku został komendantem lokalnej milicji.

Sara pamiętała serdeczność mojej mamy i wymogła na nim opiekę nad naszą rodziną. Dzięki temu nie zostaliśmy wywiezieni na Syberię. A jako bliscy zawodowego wojskowego znajdowaliśmy się na samym szczycie listy przeznaczonych

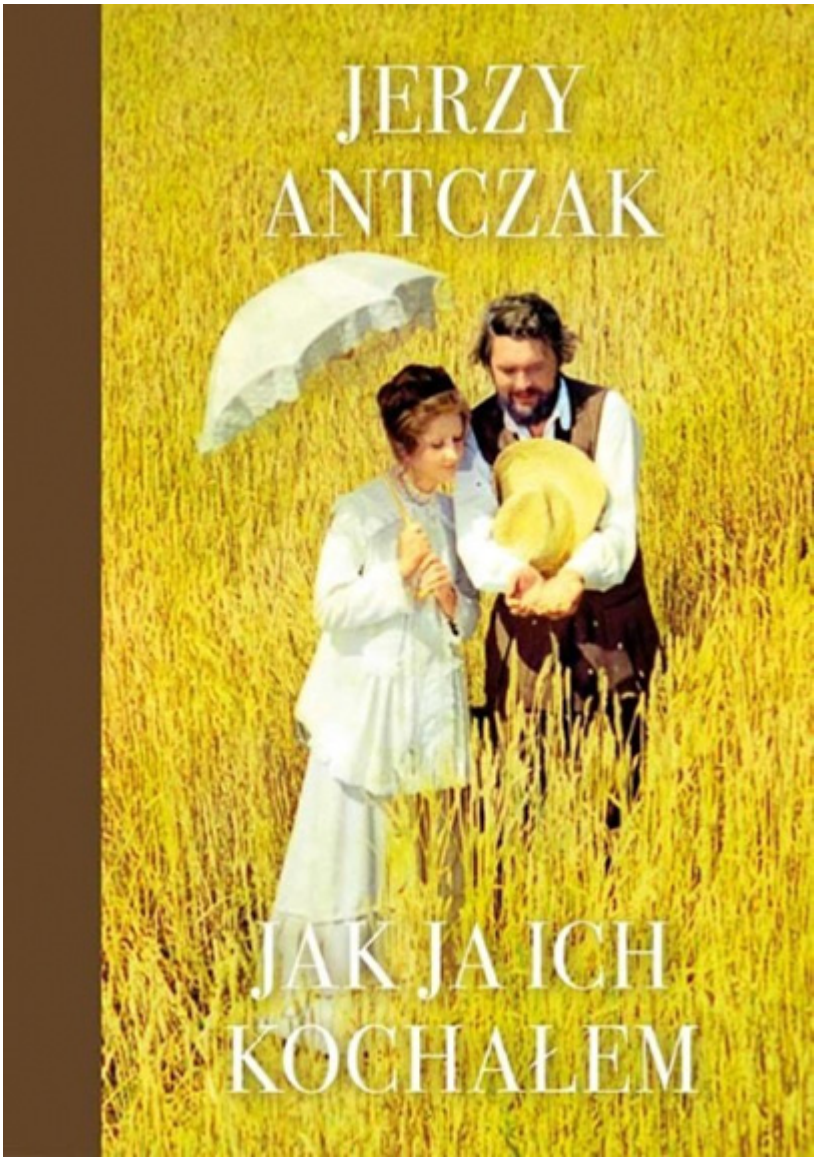
do zsyłki.

Icek Pinkwas objawił się ponownie i nieoczekiwanie po wojnie w Polsce i pod nazwiskiem Mikołaj Pluta, jako wysoki rangą funkcjonariusz NKWD – został głównym doradcą Wydziału I (kontrwywiadu), którego celem było ściganie i karanie polskiego podziemia. Zupełnie przypadkiem dostaje do rąk sprawę ojca. Zapoznawszy się z aktami sprawy doznał zaskoczenia. Odkrył, że obwinionym to dobrze mu znany Władysław Antczak, były chorąży 23 Pułku Piechoty stacjonującego we Włodzimierzu Wołyńskim. W enkawudziście odżyły czułe wspomnienia. Przypomniał sobie moją mamę, jej sympatię do tajemniczego świata Żydów, wreszcie szacunek, jakim nasza rodzina, w tym ojciec, okazywali jego rodzicom. Znalazł w akcie oskarżenia szyte grubymi nićmi fałszerstwa. Sporządził raport dla samego ministra spraw wewnętrznych Stanisława Radkiewicza. Z adnotacją, że na skutek nieprawdziwych faktów przedstawionych przez oskarżyciela zaleca umorzenie śledztwa i wypuszczenie podejrzanego na wolność. Tak w wielkim skrócie wyglądała decyzja przeznaczenia, która za pośrednictwem Icka Pinkwasa vel Mikołaja Pluty uratowała tacie życie. A Sarę Pinkwas sportretowałem w „Nocach i dniach", jako Arkuszową.

A oto kres wędrówki ojca. Rok 1961. Siedząc przy łóżku, widząc smugę cienia na jego twarzy, zapytałem go: – Tato czy ty masz żal do tego wszystkiego co cię spotkało? Do zdrady twoich podwładnych? Do tych lat, które ci odebrali w więzieniu? Ojciec zamyślił się, a potem uśmiechnął. – Nie, Jurku… nie mam żalu… W ogóle nie mam żalu do nikogo i do niczego. Bo w końcu człowiek jest panem swojej woli i musi ponosić konsekwencje swoich czynów. – No, ale przecież musisz mieć jakąś ocenę tego wszystkiego. – Tak. Mam. Po prostu w chwili kiedy pękło to, o co walczyłem, znalazłem się po złej stronie boiska.

I tej pokory ojca nie mogłem darować – nie tylko reżimowi, który go sponiewierał, ale przede wszystkim tym towarzyszom broni ojca, którzy się zeszmacili!

To była ta straszna lekcja życia, która mnie gryzie po dziś dzień.



Okładka książki

Ukończył pan wydział aktorski w Wyższej Szkole Aktorskiej w Łodzi, występował Pan w teatrze, dzięki Panu powstał słynny łódzki teatr 7.15. Co zatem zafascynowało Pana w reżyserii, że stał się Pan jednym z czołowych twórców Teatru Telewizji.

W roku 1953, zaraz po dyplomie, zostałem asystentem w Szkole Aktorskiej. Odkryłem wtedy w sobie zdolności pedagogiczne, możliwość wykorzystania swojej niezwykłej łatwości porozumiewania się z młodzieżą, otwierania młodych aktorów, wydobywania z nich odpowiednich tonacji i kolorów, rozbudzania pasji. Ale ciągle nie była to jeszcze reżyseria, tylko zwykłe wprawki.

W latach pięćdziesiątych działały w Polsce trzy studenckie teatry: warszawski STS,

gdański Bim-Bom i traktowany trochę z pobłażaniem „Pstrąg", nagrodzony w Łodzi. Jakież więc było zaskoczenie, kiedy na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Studenckich w Krakowie, za program *Nie mamy czasu*, „Pstrąg" w mojej reżyserii zdobył nagrodę „Kaduceusz Polski". Jednym z jurorów festiwalu był Igor Sikirycki, wybitny satyryk i poeta, Kierownik Artystyczny Teatru Satyryków w Łodzi. Niespodziewanie zaproponował mi wyreżyserowanie w tymże teatrze składanki pod tytułem *Z innej beczki*.

Po sukcesie *Z innej beczki* (zagraliśmy ponad sto pięćdziesiąt przedstawień przy pełnej widowni) Igor Sikirycki oraz dyrektor generalny Michał Tomski, zaproponowali mi objęcie funkcji kierownika artystycznego. Miałem wtedy dwadzieścia osiem lat. Marzyła mi się nazwa „Teatr Mały" albo „Teatr Kameralny". Warszawa nie zgodziła się. Teatr ma kontynuować linię programu lekkiego, grając tylko od czasu do czasu „sztuki poważne".

Wymyśliłem więc: „Teatr 7:15." – nazwę neutralną, która połknie wszystko. Warszawa ją zaakceptowała. Na otwarcie sezonu wybrałem *Pułapkę na myszy* Agaty Christie. Sztukę postanowiłem wyreżyserować sam. Był to początek mojej reżyserskiej drogi. Niestety, w rok po objęciu dyrektury Teatru 7,15, mimo ogromnych sukcesów, w bardzo przykrych okolicznościach zostałem odwołany ze stanowiska.

I od teraz przeznaczenie bierze lejce mojego życia w garść i nakazuje mi poświęcić się reżyserii. Jestem dwa lata w teatrze Kazimierza Dejmka, gdzie reżyseruję dwie sztuki. Po czym od 1958 do 1963 pełnię obowiązki naczelnego reżysera Telewizji Łódź, gdzie serią wybitnych realizacji telewizyjnych Teatru Popularnego, którego jestem założycielem, zdobywam uznanie krytyki oraz serca widzów całego kraju. W moich działaniach reżyserskich, doświadczenie aktorskie odgrywało główną rolę, nadając przedstawieniom emocjonalny koloryt.

Na fali tych sukcesów, zostaję powołany na stanowisko Naczelnego reżysera Telewizji Polskiej. I tak oto wyglądała moja droga do reżyserii telewizyjnej, która była uwerturą do realizacji filmów fabularnych.



Jadwiga Barańska i Mariusz Dmochowski w filmie „Hrabina Cosel", 1968 r.

W 1967 r. podjął się Pan nowego wyzwania – ekranizacji powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego *Hrabina Cosel*, z Jadwigą Barańską i Mariuszem Dmochowskim w rolach głównych. Film był kręcony m.in. w zamku w Łańcucie. Syn ówczesnego wicedyrektora zamku, Wrzesław Żurawski, tak wspomina tamten czas:

„Hrabina Cosel", to było duże przedsięwzięcie. Oczywiście moi rodzice byli z reżyserem w stałym kontakcie, drżąc o zamek. Mnie tylko czasem udawało się wcisnąć na plan w sieni zamkowej, gdzie była grana scena uczty. Na filmie niestety nie zauważa się, że były specjalnie pieczone piękne, prawdziwe prosiaki, indyki i inne mięsiwo. Ta uczta trwała kilka dni. Socjalizm czasu nie liczył. Mariusz Dmochowski w końcu po kilku dniach miał pięknie rozerwać indyka rękami, rzucić jedną nogę któremuś z ministrów, a sam z błyskiem oka wbić zęby w drugą nogę. Niestety zaraz zaczął pluć i wołać...okropne, bo indyk czekał na tę scenę około

tygodnia”.

A jak Pan wspomina ten czas?

Aby temu wspomnieniu nadać niemal metafizyczny ciężar muszę przywołać rolę przeznaczenia. Gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności, a właściwie decyzja LOSU, nigdy bym tego filmu nie reżyserował. W styczniu 1967 roku, Zdzisio Skowroński dał mi do przeczytania swój scenariusz według powieści Ignacego Kraszewskiego *Hrabina Cosel.* Powiedział z tajemniczym uśmiechem: – Przeczytaj. Jest tu szansa dla Jadwigi na debiut fabularny w tytułowej roli.

Przeczytałem. Scenariusz porwał mnie, ale wyzwolił niepokoje, czy powinienem ten film reżyserować, bo podejrzenie, że „Antczak obsadzi Barańską w Hrabinie” przejdzie przez brutalne sito komisji scenariuszowej. Najpierw sprawiono baty Kraszewskiemu! Że to melodramat. Staroć. Trochę pochwalono scenariusz i dialogi. Od biedy może to być film kategorii B. Podkreślano kilka razy, ze szczególnym naciskiem, że rola Hrabiny Cosel jest bardzo złożona i wymaga doświadczonej filmowo aktorki. Nie mówiąc już o tym, że – jak sugeruje Kraszewski – musi być piękną kobietą. W końcu padło pytanie: „Kto to będzie reżyserował?” Zdzisio strzelił bez wahania. „Obecny tu reżyser Antczak”.

Rozpoczęto od pogłaskania mnie po ramieniu, że jestem dobry w telewizji i moje filmy telewizyjne da się oglądać, ale zaraz dodano, że chyba jeszcze nie dojrzałem do debiutu w pełnym metrażu. Dyskusja była długa i bardzo głośna. Niespodziewanie Aleksander Ford, który do tej pory nie brał udziału w dyskusji, powiedział ściszonym głosem: – Prace pana Antczaka dla Telewizji dają mu licencję do robienia *Hrabiny Cosel*. – I tak oto jedno zdanie Boga kina polskiego, z którym nigdy w życiu nie zamieniłem słowa, przeważyło szalę.

Ale dziwne są zrządzenia losu. W 1995 roku moim asystentem na UCLA w Los Angeles był Robert Moreland. Któregoś dnia zapytał mnie: – Czy znany ci jest polski reżyser filmowy, Aleksander Ford? – Oczywiście! Dlaczego pytasz..? – Powiesił się w motelu mojej ciotki. Zostawił na stole sto dolarów z kartką, na której napisał, żeby po nim posprzątać.

Niech Pan odpoczywa w pokoju, Panie Aleksandrze.



Jerzy Bińczycki jako Bogumił Niechcic i Jadwiga Barańska jako Barbara Niechcic w filmie „Noce i dnie”, fot. arch. Jerzego Antczaka



Kadr z filmu „Noce i dnie”, fot. arch. Jerzego Antczaka

Największą sławę przyniosła Panu ekranizacja powieści Marii Dąbrowskiej „Noce i dnie”. Po latach, z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości, znów obejrzałam film podczas Festiwalu Polskich Filmów w Austin – i muszę przyznać, film się nie zestarzał, nadal wzrusza, wywołuje łzy, zmusza do refleksji. Traciliśmy życie i majątki w Powstaniach, ciężko pracowaliśmy na dzierżawionej ziemi, potem przyszła wojna i zabrała resztę. A jednocześnie, mimo zaborów i wojennej zawieruchy ludzie żyli, kochali się, marzyli i przeżywali swoje życie najlepiej jak potrafili. W tym filmie jest polska dusza i polski los. Przez karty Pana najnowszej książki od początku do końca, jak powtarzający się refren, przewijają się „Noce i dnie”. Czy ten nominowany do Oskara film, wciąż jest dla Pana najważniejszy?

Tak. To jest moje Opus Magnum, do które właściwie dochodziłem całe życie. W książce „Jak ja ich kochałem”, wiele miejsca poświęcam wydarzeniom, które wspierały moją wyobraźnię, najpierw przy pisaniu scenariusza, potem w reżyserii.

Tomek Miernowski, jeden z trzech producentów filmu napisał esej p.t. „1800 Nocy i Dni – opis obyczajów". Pisze Tomek we „Wstępie":

Realizacja filmu „Noce i dnie" trwała 5 lat. Tyle co II wojna światowa. 1800 dni i nocy. Według norm produkcyjnych metraż tego giganta odpowiada 14 pełnometrażowym filmom fabularnym. Rozwinięta kopia filmu zajęłaby drogę równą odległości z Warszawy do Mińska Mazowieckiego. Setki aktorów, w tym największe gwiazdy polskich scen, tysiące statystów, góry rekwizytów i stylowych kostiumów, dziesiątki zbudowanych od podstaw dekoracji, adaptacje rozległych plenerów wiejskich i miejskich, konie, powozy, batalistyka, pirotechnika, kawaleria i piechota ruska i niemiecka. To wszystko w gotowości do działań przez dwa i pół roku zdjęć. Prowadzenie takiego interesu to zadanie natury wojskowej.

Gdybym nie urodził się w koszarach i nie widział z bliska reżimu dyktatury wojskowej, która za cenę krwawych ofiar pozwala wygrywać bitwy, a potem w czasie okupacji, kiedy ojciec jako Inspektor Armii Krajowej przygotowywał się do odbioru zrzutów samolotowych oraz do akcji bojowych, nie potrafiłbym ujarzmić tej potwornej machiny, którą Tomek określa jako zadanie natury wojskowej.

Od 1979 roku mieszkają Państwo w Kalifornii. Czym jest emigracja dla kogoś takiego jak Pan, kto tak bardzo kocha Polskę, co widać na kartach Pana książki.

Ja nie przyjmuję do wiadomości, że jestem emigrantem. Zmieniłem tylko miejsce zamieszkania, adres, ale moje serce i moje wszystkie uczucia pozostały w kraju, z którego duchowo nigdy nie wyjechałem. Z miłością do kraju jest tak, jak to pięknie metaforycznie określił Gałczyński w jednym ze swoich wierszy.

Jak pięknie i ciepło pisze Pan zarówno o rodzinie, jak i o swojej żonie Jadwidze Barańskiej, a także o jej mamie, pani Mini. Życie nie szczędziło jej trudnych przeżyć, ale mimo to, potrafiła zachować miłość do świata zarówno ludzi, jak i zwierząt.

Kochaj każdy liść, każdy promyk boskiego światła. Kochaj zwierzęta, kochaj rośliny, kochaj wszystko, co cię otacza. Jeżeli zdobędziesz w sobie kochanie tego

wszystkiego, otrzymasz Boską moc pojmowania wszechrzeczy! – tak mówi Dostojewski w *Zbrodni i karze*. Miałem wielkie szczęście spotkać w życiu osobę utkaną z takiej właśnie materii. Towarzyszyła mi nieprzerwanie pół wieku. Pomagała w zmaganiu się z życiem i sztuką. Tą niezwykłą kobietą była matka Jadzi. Na imię miała Maria, ale nazywaliśmy ją zdrobniale Minią. Jej dar pojmowania i kochania świata był niepojęty!

Opiekując się domem, a potem naszym synem Mikołajem, znajdowała czas i siły, aby przytrzymywać chybotliwą drabinę naszych karier artystycznych i pomagać nam wspinać się po jej szczeblach w górę. Ciągle przygarniała jakieś ptactwo – kruki, wrony, gołębie, nie mówiąc o tuzinach kotów i psów. W naszym mieszkaniu o powierzchni pięćdziesięciu sześciu metrów kwadratowych rezydowali: Minia, Jadzia, ja, Mikołaj, siedem kotów i pies Żola. Ta „chewra" (banda, zgraja, przyp. red.), o różnych temperamentach i nawykach, poskramiana żelazną ręką ich żywicielki, poddawała się rygorom i stanowiła zgraną pakę. Sypiała na niej, otulając ją swoimi futerkami jak kołdrą.

Ojcowie Święci, patrzycie na mnie podejrzliwie i chyba słusznie. Bo gdyby doszło do przewodu, wymagającego bezspornych świadectw „boskiej mocy pojmowania wszechrzeczy", musiałbym opisać jej gniew, kiedy w stosunku do zwierzęcia używano słowa „zdycha", zamiast „umiera", zarezerwowanego wyłącznie dla ludzi. Pieniła się: – Tylko w dwóch językach używa się określenia, że zwierzę „zdycha". W polskim i rosyjskim. W innych mówi się, że zwierzę umiera.

Kościół katolicki utrzymuje, że tylko istota myśląca, posługująca się ludzką mową ma duszę. I zasługuje na słowo „umiera". Nie mam wątpliwości, że teraz będąc bliżej Boga, Minia wie już na pewno, jak to jest ze zwierzęcą duszą.



Chorąży Władysław Antczak (w mundurze) z żoną, jej bratem i synami – starszym Tadeuszem i młodszym Jerzym, Boże Narodzenie, Wlodzimierz Wołyński 1931 r., fot. arch. Jerzego Antczaka

Z kart Pana książki przebija, że mimo obowiązków zawodowych, które czasami brały górę, rodzina była dla Pana bardzo ważna. Proszę opowiedzieć o Pana Świętach Bożego Narodzenia w dzieciństwie, a potem Państwa Świętach w dorosłym życiu i na emigracji.

Święto Bożego Narodzenia, może trochę dlatego że urodziłem się 25 grudnia miało charakter niezwykle uroczysty. Pielęgnowany od lat, najpierw we Włodzimierzu, gdzie wszystko zaczynało się od wniesienia do salonu świerkowego chojaka, oprawienie go na stojaku, okraszenia jego gałęzi bombkami, łańcuchami, anielskim włosem, świeczkami, wreszcie umieszczenie na jego szycie szklanej

iglicy.

Święta Bożego Narodzenia w czasie okupacji nie odbiegały od tradycji. Wszystko działo się tak samo. I kiedy zapalały się świeczki i zaczynały śpiewy kolęd, znikała czerń okupacyjnej nocy i wyzwalała tajemnicę narodzin Jezusa Chrystusa.

Jadzi Mama, Minia, urodzona na Wileńszczyźnie, oprócz celebry z choinką, pielęgnowała modlitewnie przygotowania do wieczerzy wigilijnej. Zawsze było z 13 potraw. Gotowała genialnie i do dzisiaj, mimo, że od jej śmierci minęło wiele lat, czuję na podniebieniu ich boski smak.

A jak wyglądają Święta na emigracji? Niemal tak samo, tyle, że świeczki łojowe zastąpiły światełka elektryczne na choince, i przed domem. I niestety, świerkowąchoinkę tworzy zestaw kolorowych świateł ułożonych w kształcie drzewka.Tylko potrawy nie uległy zmianie. Niezmiennie ta sam ilość, cudownie przygotowana przez Jadzię, która oprócz talentu aktorskiego ma też dar kulinarny.

W Pana książce widać, jak bardzo jest Pan pozytywnie nastwiony do świata i ludzi. Widać to też w Pana wpisach na facebooku, gdy się je czyta robi się ciepło na sercu. Sam tytuł książki „Jak ja ich kochałem" wskazuje na Pana nastawienie do życia. Jak Pan to osiągnął, że nie ma w Panu żalu, zgryźliwości, tylko niezwykłe pokłady życzliwości.

Najważniejsze w życiu jest być kochanym i mieć obok siebie bliską istotę nastrojoną na te same fale. I najważniejsze, żeby ci ludzie, których kocham byli zdrowi. Pragnę, żeby ten straszny wirus przestał pustoszyć świat, pozostawiając po sobie krwawe rany. Najważniejsze dla mnie w życiu jest trwanie. Pięknie powiedział Wojciech Kossak: *Panie Boże, nie daj mi więcej, ale nie zabieraj mi tego, co mam. I to jest moje przesłanie.*

Mam już dziewięćdziesiąt lat plus, poszedłem na emeryturę po 25 latach, a w systemie amerykańskim w szkołach artystycznych emerytura nie istnieje. Mogłem do dzisiejszego dnia wykładać na uniwersytecie, ale po 25 latach doszedłem do wniosku: wystarczy! Przecież muszę napisać tę książkę. Pisanie jej była to bolesna

wędrówka po czasie przeszłym, nieustanne wspominanie ludzi, których już nie ma. Ale oni dla mnie umarli, ale nie odeszli. Człowiek dotąd istnieje, dopóki trwa pamięć o nim.



Barbara Barańska i Jerzy Antczak, fot. arch. Jerzego Antczaka

Moja książka o Helenie Modrzejewskiej nosi tytuł *Co otrzymałam od Boga i ludzi*. To ostatnie zdanie z pamiętnika artystki. Zacytuję:

Gdy siedzę na ganku naszej willi i patrzę na purpurowe wzgórza Santa Ana, na wierzchołki Sierra Madre, albo w błękitne wody zatoki, mam uczucie spokoju i zadowolenia. Miłość do moich najbliższych wypełnia mi serce po brzegi i chociaż w myślach goszczą często obrazy ze świetnej przeszłości na scenie, to jednak nie żal, nie gorycz mąci moją świadomość, ale wypełnia ją wdzięczność za wszystko, co otrzymałam od Boga i ludzi.

Czy książka „Jak ja ich kochałem” miała być odpowiedzią na pytanie, co Pan

otrzymał od życia?

Otrzymałem niemal wszystko, co jest potrzebne, aby było ono spełnione. Nie wymieniam szczegółów tych darów, bo jestem przesądny.

Powieść *Na wschód od Edenu*, jest największym arcydziełem Johna Steinbecka. Jej głównym tematem jest walka dobra ze złem w człowieku, ukazana w biblijnej parafrazie przypowieści o Kainie i Ablu.

Hebrajskie słowo „timszel – możesz" daje prawo wyboru. Przenosi odpowiedzialność na człowieka. (...) Bo jeśli „możesz", to znaczy również, że „możesz nie".

W przemowie wygłoszonej po otrzymaniu nagrody Nobla, motyw „timszel" znalazł swoje odzwierciadlenie. Mówi Steinbeck:

Niespełna pięćdziesiąt lat po śmierci Nobla podwoje natury ludzkiej zostały otwarte i stanęliśmy przed straszliwym ciężarem wyboru. Uzurpujemy sobie wiele mocy, które niegdyś przypisywano jedynie Bogu. Pełni lęku i nieprzygotowani przejęliśmy panowanie nad życiem i śmiercią całego świata i wszystkich żywych stworzeń. Zagrożenie, i chwała, i wybór, ostatecznie spoczywają w rękach człowieka. Test na możność osiągnięcia przez niego doskonałości jest w zasięgu jego ręki. Objąwszy niemal boską władzę musimy teraz poszukać w nas samych odpowiedzialności i mądrości, które mieliśmy nadzieję posiada być może jakieś bóstwo. Sam człowiek stał się naszym największym zagrożeniem i naszą największą nadzieją. Zatem tego dnia mogę również zacytować słowa Świętego Jana Apostoła: Na końcu było słowo i słowo było człowiekiem i, człowiekiem było słowo.

W okresie kiedy byłem zauroczony arcydziełem Steinbecka, na marginesie książki notowałem frazy, które zapadały głęboko w moje serce. A oto te które stały się busolą kierującą moim życiem:

Czuję, że człowiek to coś bardzo ważnego – może ważniejszego niż gwiazda. To nie teologia. Nie mam słabości do bogów. Ale mam w sobie miłość do tego olśniewającego tworu – duszy ludzkiej. To rzecz cudowna i jedyna we wszechświecie. Ciągle atakowana, a nigdy nie podlegająca zniszczeniu – dlatego

właśnie że „możesz”.

Ludzie w swym życiu, w rozumowaniu, w pożądaniach i ambicjach, w swym skąpstwie i okrucieństwie, a także w dobroci i wspaniałości – są uwikłani w matnię dobra i zła. Myślę, że to jest jedyna nasza historia, i że rozgrywa się ona na wszystkich poziomach uczuć i inteligencji. Cnota i występek były wątkiem i osnową naszej świadomości i pozostaną tkaniną ostatniej, i to na przekór wszelkim przemianom. Nie ma innej historii. Człowiekowi, który otrząśnie już z siebie pył śmierci życia, pozostaną tylko twarde, jasne pytania: czy to życie było dobre, czy złe,? Czy postępowałem dobrze, czy źle?

Koniec życia nie wydaje się tak odległy, widzisz go wyraźnie niczym linie namalowaną na mecie. Bez przerwy zadajesz sobie pytania: Czy wszystko już zrobiłem?, Czy wystarczająco kochałem? Jakie znaczenie miało dotychczas moje życie, w czasie który mi pozostał? Dochodzimy tu do zatrutego przewrotnością sedna sprawy:

Czym zapisałem się w Wielkiej Księdze Losu?

Rozmawiała: Joanna Sokołowska-Gwizdka

Zobacz też:

Chopin. Pragnienie miłości.

Muzyka największą miłością Chopina

Książkę „Jak ja ich kochaem”, wyd. Axis Mundi, 2020 r. można kupić w polskiej księgarni w USA – EK Polish Bookstore:

Jak ja ich kochałem